

**ELIZA
ORZESZKOWA**

ZAGADKA

Eliza Orzeszkowa

Zagadka

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Zagadka / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

On i ona. Spotkanie niby przypadkowe, ale bardzo wyczekiwane. Rozmowa przechodzi we flirt, a flirt w coś jeszcze poważniejszego. Do miasta przyjeżdża piękna dziewczyna z małego dworku. Niby do ciotki, ale tak naprawdę w poszukiwaniu chłopaka, który był z wizytą na wsi jakiś czas wcześniej. Spotykają się i oderwać się od siebie już nie mogą. I niby wszystko już wiemy, i już trzymamy za nich kciuki, kiedy dowiadujemy się o tej trzeciej. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie problemów społecznych — w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Eliza Orzeszkowa

Zagadka

W piękny dzień wiosenny spotkali się na chodniku głównej ulicy miasta i stanęli pełni zdziwienia i radości. W mieście tak wielkiem spotkać się wypadkiem bardzo trudno, ale czasem los takie promienne uśmiechy składa na drogi ludzkie.

Zwierciadlana szyba wystawy sklepowej odbijała w sobie dwie ich postacie zgrabne, wytworne, mały kapelusz z fiołków na jej złotych włosach i wiązkę takichże kwiatów u klapy jego eleganckiego surduta. Młodość dwudziesto i trzydziestoletnia! Wiosna i początek lata! Para oczu tak kryształowo przejrzystych, jak krople rosy porannej i druga, więcej pogiębiona przez życie, które zwykło głębie wszelkie zaścielać cieniami. Trochę cieniów powlekało ognistość jego czarnych źrenic, gdy jej błękitne, wznosiły się ku niemu całe w promieniach, wesołe, szczere do dna – sielskie. Mieszkanka wsi dalekiej, ustronnej, cichej – i syn tego wielkiego miasta, po trochu już chluba jego, autor z młodą sławą i wielką – jak powiadano – przyszłością.

– Czy podobna? Pani tutaj? Odkąd? Na jak długo? Więc raik ziemski w wianku dębowym, którego byłem niedawno gościem tak szczęśliwym, zdobył się na odwagę rozstania się z panią?

– O, na krótko! tylko na tydzień!

– Przez cały tydzień móż każdego wieczora mówić pani: do jutra! To szczęście, o którym marzyć nie śmiałem!

Mówił nieprawdę. Odkąd powrócił z podróży, której trafy zawiodły go do „raiku w wianku dębowym”, często, daleko częściej, niżby chciał tego, marzył: „może przyjedzie!” Gdy dni już sporo upłynęło, z żalem, większym niż zrazu mógł się spodziewać, zapytywał: „Czyżby nie przyjechała?” Potem z trochę zarozumiałości męskiej mówił sobie: „pewno przyjedzie!” na myśl tę czując radość wielką i za tę radość surowo siebie karcąc. Marzenia i nadzieje, z nią związek mające, gasić usiłował jak świece niepotrzebnie palące się tam, gdzie już jasno płonęła lampa. Nadaremnie, bo wnet podmuch gorący, z jakichś głębin nieznanych przylatując, zapalał je na nowo, a blask lampy stawał się coraz słabszym...

Zaczęła mówić prędko, z rumieńcami, które opływały twarz przedziwnie świeżą, to znikaly, zdając się wtóżyć przyśpieszonym uderzeniom serca.

– Tak to się zdaje, że tydzień, to długo. Przemknie jak minuta! Mam mnóstwo sprawunków do załatwienia, poleceń do spełnienia. Muszę wszystko zobaczyć: wystawy obrazów, panoramy, teatr... Do księgarni po książki i nuty... Do rozmaitych sklepów po tysiąc kapeluszy, materyi, rękawiczek, wstążek... Do Łazienek, do ogrodu Botanicznego, do redakcyi trzech gazet: tatusiowi i dwom sąsiadom po jednej...

– Wielki Boże! A gdzież wśród tego wszystkiego trochę, choć trochę czasu dla mnie?

– Ach, prawda! Nie pomyślałam o tem!

Mówiła nieprawdę. Myśl, że go zobaczy, tęsknota do niego, tak w niej tkwiły, że przed wyjazdem z domu, w wagonie i odkąd tu przybyła, prawie o niczem innem, jak o prędkim zobaczeniu go nie myślała. Ale mówiąc nieprawdę, zaśmiała się tak głośno i serdecznie, że aż paru przechodniów obejrzało się i uśmiechnęło, bo im się zdało, że usłyszeli skowronka, który z pola tu przyleciał.

– Tyle było kłopotów przed wyjazdem! Tatuś zgadzał się, abym na tydzień pojechała do cioci, ale mama się nie zgadzała, a kiedy nareszcie mama zgodziła się, tatuś zgadzać się przestał. Bronia płakała, że bezemnie rozchorują się jej lalki. Staś wyrzekał, że przerwą się lekcye botaniki pogładowej; sąsiadki i sąsiedzi przywozili próbki materyi, miary buczków, tytuły gazet, a wszyscy ze wszystkich kątów pamięci zbierali i do kufra mi ładowali przestrogi higieniczne, estetyczne, moralne: nie przeziębzać się! nie wychylać się przez okna wagonów! Nie paplać jak srocza! Nie śmiać się

jak dzwonek! nie dać się olśnić blaskom wielkiego miasta, które są niczem więcej, tylko *vanitas vanitatum*... zdaje się, że *vanitas vanitatum*... czy końcówki dobre?

– Zupełnie dobre, lecz okropnie niedobrem jest to, że w zawierusze tego ewenementu pamięć o moim istnieniu tutaj zginęła, jak liść zeschnięty, uniesiony wiatrem.

Z pokorą, pełną figlarnych uśmiechów, rzekła:

– Bardzo przepraszam, ale to prawda: – zginęła!

Tym razem zaśmiali się oboje, bo on jasno widział, że „to” nie było prawdą. Wszystko w niej, jak w naczyniu kryształowym, było dla niego jasnym i widocznym. Dziwił się nieraz, jakim sposobem istota ludzka, choćby młoda, posiadać może świeżość serca i humoru tak nietkniętą i przedziwną. Przypisywał to atmosferze patryarchalnej, która w jej domu rodzinnym panowała, rozmaitym właściwościom wsi, a nadewszystko własnej jej naturze anielskosielskiej. Nieraz, przez te dni kilka, które tam spędził, patrząc na jej zatrudnienia i zabawy, myślał: anielsko-sielska! Czasem, gdy w tym wianku zielonym, który otaczał „raik ziemski”, chodzili pomiędzy dębami rozmawiając, uśmiechał się: „optymistka! dziecko!” Parę razy nawet, ze skrytym uśmiechem ironii, zawołał w myśli: „Naiwna!” Lecz zawsze w anielskości i sielskości, z optymizmu i naiwności, wiały na niego tchnienia jakichś rozłogów kryształowych, jakichś bajecznych rajów niewinności i prostoty, coś z niespodzianki, owiniętej w błękitną radość. Tak wiele miał na codzień myśli własnych i cudzych, tak wiele chmur niosących nad światem zapytania, zwątpienia, że znajdując się przy niej, czuł promienną rzadkiego święta i swobodę, świeżość chłopięcych wakacji.

Teraz, gdy szli chodnikiem wielkiego miasta, potrącając ludzi i przez nich potrącani, bo oprócz siebie nawzajem nikogo i nic dokoła nie widzieli, szły z nimi razem wspomnienia kilku dni tylko, lecz uplecionych z mnóstwa momentów, jak girlanda z kwiatów. Czuli, że oplata ich i łączy girlanda z kwiatów, które dla niej nie miały ani jednego ciernia, a dla niego... może miały, lecz nie pamiętał teraz o cierniach, tak jak o niczem, co nie było nią i dzisiejszem ich spotkaniem w ten cudny dzień majowy...

– Jak żyję nie widziałem tak pięknego kwietnia, jak w tym roku... w Liliowej. Czy w ogrodzie państwa, ta wielka, stara grusza stoi jeszcze w powłóczystej sukni ślubnej?

– Ach, pan ją pamięta? A pamięta pan te jabłonki, które w blado – różowym kwieciu wyglądały jak druchny?

– I te jabłonki pamiętam. Ale pewnie teraz nie są już blado-różowe. Jaka szkoda, że kwiaty wiosenne muszą osypywać się z drzew!

– To nic; zastępują je inne, których mnóstwo jest teraz w ogrodzie, na polu, na łąkach!...

– Pani nie żałuje tych kwiatów, na które patrzyliśmy razem?

– Chciałabym razem z panem patrzeć na te, które po tamtych rozkwitły.

Spojrzał na nią tak, jakby rzekła słowo, które wdzięcznością ugina kolana, ale ona nie widziała tego, powieki miała spuszczone i na drobnych ustach uśmiech zadumany.

– Niestety! – rzekł – drzwi rajów nie otwierają się codziennie!

– O, drzwi Liliowej stoją zawsze otworem dla przyjaciół!

– Którzy są tak biedni, że jednak wstępować w nie nie mogą.

– Dlaczego?

– Dziwne pytanie! Alboż Bóg dał mi to szczęście, abym wyrósł z gruntu Liliowej? Obcy tam byłem, przybysz ze świata nędzy, walki, pracy...

– Dlaczego pan pracę zestawia z nędzą?... Walką jest ona pewno, ale nie nędzą, a w walce pan zwycięża. Jakaż to nędza, dar usiewania ziemi gwiazdami myśli dobrych i pięknych? Czyż nie jest zwycięstwem to, że pan najpewniej wielu już ludzi oświecił, pocieszył, pięknie natchnął, że pan już sławę zdobył, że nawet pan Ignacy, sąsiad nasz, gdy imię pana wydrukowane zobaczy, woła do córek tak, że aż szyby w oknach dzwonią: „Dawajcież mi go, prędzej, bo ten to tak pisze, że czytając – nie zasną!”

Komicznie wyglądała, naśladowując głos sąsiada, gdy jak zbawienia, czepiał się jedyne go autora, którego pisma czytając – nie usypiał.

– Pani mogłaby samego Danta w otchłani piekielnej pocieszyć. Ale ja dziś pociechy nie potrzebuję... takim szczęśliwy!

Głos załamał się mu w gardle; ona zażartowała.

– A ja! Cóż ze mną! Takiej parafiance dostać się po niebytności długiej do wielkiego miasta! Cała jestem radością!

– Pani tak lubi miasto?

Myślała chwilę.

– Lubię i wieś i miasto. Wie pan? Zdaje mi się, że wszystko na świecie lubię. Czasem nawet myślę: skąd to pochodzi, że najsprzeczniesze rzeczy posiadają dla mnie urok, chociaż coraz inny, ale zawsze miły, taki, że przez niego muszę kochać cały świat. Wszystko jest na swój sposób miłe. Kiedy wjeżdżam do miasta, to mi w tym ruchu, gwarze, turkocie, aż serce zaczyna mocniej bić od radości i chciałabym ptakiem wlecieć w ten zamęt, zobaczyć, usłyszeć wszystko, co w nim jest: domy, rozmowy, obrazy, muzykę...

– Wystawy sklepowe... tysiąc kapeluszy i materyi...

– Tak, tak! I kapelusze również! Słyszę zawsze, że to wszystko jest bańką mydlaną, ale ja i bańki mydlane lubię, bo takie lekkie i śliczne w nich mienia się barwy tęczowe... Potem, kiedy wracając na wieś, zobaczę nasz dom z topolami, gaj dębowy, obłoki, pola, czuję znowu takie ciche, trochę jakoś smutne, ale głębokie szczęście i myślę, że jeśli wielkie miasto świetnie odbija w sobie blaski tęczowe, to wieś jest sama taką wielką poważną, stojącą nad światem tęczą...

Może zawstydzona tem, że tak wiele mówiła, umilkła, a on po chwili z cicha rzekł:

– Niech pani mówi jeszcze, co pani lubi!... Niech pani mówi jeszcze! Niech przed śpiewem skowronka milkną czarne skrzydła melancholii!

Gdy zmieszana, nie odpowiadała, podpowiedział:

– A muzykę pani lubi?

– Wszelką. To właśnie dziwne, że wszelką... każdy jej rodzaj. Przed paru laty, kiedy podróżując trochę z chorą mamą nasłuchiwałam się orkiestr doskonałych i oper wspaniałych, byłam pewna, że w domu będzie już koniec moich przyjemności muzycznych, że na wsi nigdy już ich nie doświadczę. Tymczasem, raz, wyszłam przed wieczorem w pole i usłyszałam surmę. Czy pan słyszał kiedy nasze surmy poleskie? Nie? To niech pan żałuje... Pastuszek grał na niej daleko, pod lasem, we mgle jesiennej. Tylko trzy tony smutne, przewlekłe, ciągle te same pod niebem chmurnem, nad polami obnażonymi... Cóż, na pozór, może być w tem pięknego?... Jakież porównanie z koncertami, z operami, których miałam jeszcze pełną pamięć? Jednak, nie wiem skąd to pochodzi, ale przekonałam się wtedy, że lubię surmę pastuszą niemniej od oper i symfonii; owszem, może więcej, bo tamte chciałabym mieć na święta, a tę na codzień. Niech pan przyjedzie do nas w jesieni posłuchać, jak surmy grają!

– Niech mnie pani na piękniejszy moment roku zaprosi. Jesień – to chmury, słoty, błoto...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.